

WPROWADZENIE

Przygoda z pudłem Galtona

Ludzie zaczęli dostrzegać moją wyjątkowość, kiedy jeszcze byłem dość młody. Jako dziesięcioletek, zaciekawiony prawami fizyki, próbowałem dociec, co się stanie, jeśli zrzucę wielki balon wypełniony wodą z balkonu mieszkania mojego ojca na piętnastym piętrze. I tak, idąc w ślady Newtona, Darwina i innych wielkich naukowców, postanowiłem przeprowadzić eksperyment.

„Brawo, Einsteinie” – skwitował moje działanie właściciel samochodu (wyraźnie pod wrażeniem), którego przednia szyba pękła w drobny mak wskutek zaskakującej siły oddziaływania wodnego balonu. Kto by się spodziewał? „Cóż, taką cenę trzeba płacić za naukowy postęp”, racjonalizowałem sobie wtedy. W kolejny incydent, do którego doszło kilka lat później, byli zamieszani kominiek, zamknięty przewód kominowy i lokalny oddział straży pożarnej. W uszach wciąż brzmią mi słowa jednego ze strażaków: „Co ty, jesteś jakimś geniuszem, czy jak?”. Niestety nie. Nie jestem. I to sprawia, że powoli zaczynam znajdować się w mniejszości. W dzisiejszych czasach cierpimy na poważny przypadek inflacji geniuszu. Szafujemy tym słowem bezwstydnie. Nazywamy geniuszami tenisistów i projektantów aplikacji. Istnieją geniusze mody i geniusze kulinarni. I oczywiście geniusze polityczni. Wszystkie dzieci są małymi Einsteinami i małymi Mozartami. Jeśli mamy problem z najnowszym iProduktem, udajemy się do sklepu Apple’a i przepychamy do stanowiska wsparcia technicznego, określanego jako „Genius Bar”. Jednocześnie cała lawina poradników przekonuje nas, że w każdym

kryje się mały geniusz (w moim przypadku kryje się on bardzo, bardzo głęboko), i upajamy się tą wiadomością, niepomni, że skoro każdy jest geniuszem, to tak naprawdę nikt nim nie jest.

Obserwuję tę rozwijającą się – czy też raczej degenerującą – koncepcję geniuszu już od jakiegoś czasu. Ten temat fascynuje mnie w sposób, w jaki człowieka nagiego fascynuje zagadnienie odzienia. Czy naprawdę stacamy się w tej kwestii po równi pochyłej, czy może jest dla nas jeszcze nadzieja? Nawet dla mnie?

Geniusz. To słowo urzeka, ale czy naprawdę wiem, co oznacza? Pochodzi z łacińskiego *genius*, lecz w czasach rzymskich oznaczało coś zupełnie innego. W tamtej epoce geniusz był przewodnim bóstwem, które włączyło się za człowiekiem niczym nadopiekuńczy rodzic, tyle że obdarzony nadnaturalnymi mocami. (Słowo „dżin” wywodzi się z tego samego źródła). Każdy człowiek miał swojego geniusza. Miało go także każde miejsce. Miasta, miasteczka i targowiska – wszystkie mogły się pochwalić własnym przewodnim duchem, *genius loci*, który stale je ożywiał. Współczesna słownikowa definicja geniuszu – „nadzwyczajne intelektualne zdolności, szczególnie manifestujące się w działaniach kreatywnych” – to wytwór osiemnastowiecznych romantyków, tych posępnych poetów cierpiących, podkreślam, c i e r p i ą c y c h dla sztuki i (jak powiedzielibyśmy dzisiaj) w imię kreatywności; słowo „kreatywność” jest jeszcze młodsze, pojawiło się w 1870 roku, a do powszechnego użytku weszło dopiero w latach pięćdziesiątych xx wieku.

Niektórzy używają słowa „geniusz”, aby opisać osobę bardzo bystrą, kogoś o wysokim ilorazie inteligencji, ale to interpretacja zbyt wąska i wprowadzająca w błąd. Mnóstwo osób o wyjątkowo wysokim ilorazie inteligencji osiągnęło niewiele i, odwrotnie, wielu ludzi o „przeciętnym” IQ dokonało wspaniałych czynów. Nie. Ja mówię o geniuszu w sensie twórczym – jako o najwyższej formie kreatywności.

Moją ulubioną definicję geniuszu twórczego ukuła Margaret Boden – badaczka i specjalistka od sztucznej inteligencji. Według niej geniusz twórczy cechuje osoby „zdolne do tworzenia pomysłów

nowych, zaskakujących i wartościowych”. Tak się składa, że są to również kryteria stosowane przez Urząd Patentowy Stanów Zjednoczonych w procesie decydowania, czy dany wynalazek zasługuje na ochronę prawną.

Weźmy coś tak prostego jak filiżanka. Mogę wynaleźć taką, która będzie pomalowana na nietypowy fluorescencyjny odcień barwy pomarańczowej. Owszem, to coś nowego, ale nieszczególnie zaskakującego czy wyjątkowo przydatnego. Teraz, powiedzmy, wynajdę filiżankę bez dna. To z pewnością będzie coś nowego i zdecydowanie zaskakującego, ale znowu – niespecjalnie użytecznego. Aby zakwalifikować się do uzyskania patentu, musiałbym wynaleźć jakąś samoczyszczącą się filiżankę albo filiżankę składaną, która jednocześnie będzie służyć jako pamięć USB – coś, co spełniłoby wszystkie trzy kryteria: było nowe, zaskakujące i użyteczne. Stopniowe udoskonalanie metodą małych kroczków nie zapewni wam patentu ani tytułu geniusza. Może to zrobić tylko innowacyjny skok.

Pytanie, które intryguje kogoś takiego jak ja, niewolnika geografii i studenta historii, brzmi nie tylko, jak te skoki wyglądają, lecz także gdzie i kiedy do nich dochodzi. Postanowiłem zatem przeprowadzić kolejny eksperyment, tym razem bez udziału wodnych balonów, i wyruszyć w Wielką Podróż, współczesny odpowiednik zagranicznych wojaży, na które młoda angielska szlachta decydowała się w XVIII i XIX stuleciu w celu poszerzenia horyzontów. Żaden jednak ze mnie arystokrata i, jak już wspomniałem, żaden geniusz. Lata studiów zlały się w mej pamięci w niewyraźną plamę taniego piwa i nieodpowiednich kobiet. Żałuję, że bardziej nie uważałem. Obiecuję sobie, że tym razem będzie inaczej. Tym razem wezmę pod rozwagę radę mojego teścia. „Młody człowieku – powiedział niegdyś ze swoim melodyjnym nieokreślonym akcentem – musisz się e-du-ko-wać”.

Moja edukacja rozpoczyna się w Londynie, który był miejscem nie tylko narodzin wielu geniuszy, lecz także licznych badań nad tym zjawiskiem. Jeśli podobnie jak ja jesteście zafascynowani tak zwaną

nauką o geniuszu albo po prostu lubicie ukradkiem wbijać szpilki w kawałek filcu, to z pewnością będziecie chcieli zajrzeć do pudła Galtona, które można znaleźć w zbiorach londyńskiego University College.

Pewnego pochmurnego poranka – w powietrzu czuć obietnicę wiosny – wsiałam do metra jadącego na stację King’s Cross, a następnie pokonuję kilkaset jardów pieszo i docieram do przypominającego Hogwart kampusu uniwersyteckiego. Na miejscu zostaję powitany przez Subhadrę Das, strażniczkę pudła, która natychmiast wzbudza moją sympatię. Coś w jej uśmiechu i sposobie, w jaki patrzy mi w oczy, działa na mnie uspokajająco. Subhadra prowadzi mnie nierzucającym się w oczy korytarzem do równie nierzucającego się w oczy pomieszczenia, gdzie znajdujemy pudło spoczywające na stole. Moja przewodniczka przywdziewa parę lateksowych rękawiczek, a potem ostrożnie, jakby przeprowadzała operację neurochirurgiczną na myszokoczku, sięga do wnętrza.

Pudło zawiera dobra doczesne niejakiego Francisa Galtona. To osobliwa kolekcja, pasująca do osobliwego, lecz błyskotliwego człowieka. Galton, dziewiętnastowieczny naukowiec i człowiek wszechstronnie wykształcony, kuzyn Karola Darwina, dał światu analizę statystyczną* i kwestionariusze, fotografię kompozytową oraz metodę klasyfikacji odcisków palców. Był jednym z pierwszych meteorologów. To on ukuł sformułowanie *nature versus nurture* (natura czy wychowanie). Jego iloraz inteligencji wynosił niemal dwieście punktów. Motto Galtona brzmiało: „Licz, kiedy tylko możesz!“. Jego zdaniem wszystko, co warte zachodu, można ująć za pomocą liczb, a raz wyznał nawet, że nie potrafi w pełni pojąć żadnego problemu, jeśli najpierw nie „uwolni go od słów“. Był człowiekiem skrajnie

* Francis Galton był pionierem w wielu dziedzinach, m.in. zastosował metody statystyki matematycznej w badaniach biologicznych. Jednym z narzędzi, jakie do tego stworzył, jest deska z gwoździami rozmieszczonymi w górnej części, które zmieniają bieg kulki puszczanej swobodnie po niej, co miało ukazywać rozkład zjawisk pod wpływem drobnych losowych odchyłań. Tzw. deska Galtona to po angielsku *Galton box* (pudło Galtona), co staje się przedmiotem zabawy słownej autora.

nieprzystosowanym społecznie i lepiej czuł się w towarzystwie liczb całkowitych niż ludzi.

Subhadra wyjmuje kawałek filcu i kilka szpilek. Ostrożnie kładzie je na stole. To, wyjaśnia, były narzędzia, które Galton wykorzystywał przy jednym z bardziej dziwaczkich eksperymentów: próbie opracowania „mapy piękna” Wielkiej Brytanii. Galton chciał po prostu ustalić, gdzie mieszkają najpiękniejsze kobiety w kraju. Ale ponieważ trwała epoka wiktoriańska, a on był chorobliwie nieśmiały, nie mógł urządzić konkursu piękności. Jego rozwiązanie polegało na wystawianiu na rogach ulic rozmaitych miast z filcem i szpilkami schowanymi dyskretnie w kieszeni płaszcza i obserwowaniu przechodzących kobiet. Jeśli widział kobietę atrakcyjną (w jego opinii), wtykał w filc cztery szpilki. Niewiasty mniej urodziwe dostawały trzy szpilki i tak dalej. Galton podróżował po całym Zjednoczonym Królestwie, ukradkiem oceniając powierzchowność kobiet i przypuszczalnie nie budząc niczych podejrzeń. Skonkludował, że najbardziej powabne niewiasty zamieszkują Londyn, a najmniej atrakcyjne można znaleźć w szkockim mieście Aberdeen.

Świat nie przyłożył zbyt wielkiej wagi do „mapy piękna” Galtona, za to zauważył jego przełomową książkę *Hereditary Genius* (*Geniusz dziedziczny*). Wydana w 1869 roku szczegółowo zagłębiała się w genealogię wybitnych twórców, przywódców i sportowców. Galton wierzył, że ludzie ci zawdzięczali sukces genom czy też temu, co nazywał naturalnymi zdolnościami. Jego zdaniem geny wyjaśniały wszystko. Wyjaśniały, dlaczego w jednej rodzinie mogło przyjść na świat kilka wybitnych osób, a w drugiej – ani jedna. Wyjaśniały, dlaczego społeczeństwa z wysokim odsetkiem imigrantów i uchodźców często odnosiły większe sukcesy (nowo przybyli „wprowadzali cenną odmianę krwi”) i dlaczego niektórym narodom powodziło się lepiej niż innym (co analizował w rozdziale niefortunnie zatytułowanym *Porównawcza wartość ras*). Wyjaśniały upadek niegdyś potężnych cywilizacji (starożytni Grecy na przykład zaczęli zawierać małżeństwa mieszane z „pośledniejszymi” ludźmi, tym samym osłabiając

swoje linie rodowe) i to, dlaczego wszyscy opisywani przez Galtona geniusze byli mężczyznami rasy białej, jak on sam, mieszkającymi na małej posępnej wyspie u wybrzeży kontynentalnej Europy. Jeśli chodzi o kobiety, Galton wspomina o nich tylko raz, w rozdziale zatytułowanym *Ludzie pióra*.

Dzieło Galtona zostało przyjęte przychylnie, i nic dziwnego. Naukowym językiem wyrażało to, co ludzie podejrzewali już od dawna: geniuszem trzeba się urodzić. Nie można nim zostać.

Subhadra ostrożnie umieszcza szpilki i filc z powrotem w pudle. Przyznaje, że ma mieszane uczucia zarówno co do samej kolekcji, jak i Galtona, który pochodził z uprzywilejowanej rodziny, ale był ślepy na korzyści, jakie on i jego przyjaciele czerpią z racji swego statusu. „Uważał, że żyje w merytokracji – mówi Subhadra, zsuwając rękawiczki. Jednocześnie nie może zaprzeczyć, że był błyskotliwym człowiekiem. – Pierwszy zmierzył rzeczy uważane przez nas za niemierzalne i zakwestionował zagadnienia, które uznawaliśmy za bezdyskusyjne”. W pojedynkę wydarł twórczy geniusz z rąk poetów oraz mistyków i przekazał go w ręce naukowców.

Jego poglądy na temat dziedzicznego geniuszu były jednak całkowicie błędne. Geniusz nie jest przekazywany następnym pokoleniom niczym niebieskie oczy czy skłonność do łysienia. Nie istnieje żaden jego gen; jeszcze żaden geniusz nie spłodził drugiego. Cywilizacje nie rodzą się i nie upadają z powodu zmieniającej się puli genów. Owszem, jeśli chodzi o geniusz twórczy, genetyka odgrywa tu pewną rolę, lecz relatywnie niewielką; odpowiada za jakieś dziesięć do dwudziestu procent, szacują psychologowie.

Przekonanie, że geniuszem trzeba się urodzić, ustąpiło miejsca kolejnemu mitowi: że geniusz osiąga się ciężką pracą. Na pierwszy rzut oka wydaje się to prawdą. Jak dowiodło jedno ze słynnych badań, potrzeba co najmniej dziesięciu tysięcy godzin praktyki, czyli ponad dziesięciu lat, aby zbliżyć się chociaż do mistrzostwa, nie mówiąc już o geniuszu. Innymi słowy, współczesna psychologia wydobyła na światło dzienne empiryczne dowody na potwierdzenie starego porzekadła Edisona, że geniusz to efekt jednego procentu

natchnienia i dziewięćdziesięciu dziewięciu procent wycocenia. Ten ostatni składnik, pot, to kolejny element układanki. Ważny. Układanka jednak wciąż pozostaje niekompletna. Czegoś brakuje. Ale czego? To pytanie męczy mnie niczym jedna z Galtonowskich zagadek matematycznych, kiedy żwawo przemierzam wiktoriański kampus, a obietnica wiosny zostaje zastąpiona przez lekki, acz uporczywy deszcz.

Kilka miesięcy później znajduję się na innym kampusie, odległym od poprzedniego o jakieś siedem tysięcy mil, w towarzystwie kolejnego pudła. To zawiera karty katalogowe. Muszą ich być setki. Na każdej, odnotowane drobnym, ale doskonale czytelnym odręcznym pismem, znajduje się zjawisko historyczne i nazwisko wybitnej osoby, która żyła w danej epoce. Włoski renesans i Michał Anioł na przykład. Karty są starannie skategoryzowane według daty i miejsca. To wszystko jest takie metodyczne, takie... galtonowskie, myślę sobie. Ale właściciel tego pudła żyje i ma się świetnie. Właśnie stoi przede mną, energicznie ściskając mi dłoń.

Dean Keith Simonton jest opalony i wysportowany. Ma akurat urlop naukowy, ale nie odgadlibyście tego po jego niewyczerpanej energii i frenetycznym grafiku. Ubiera się w dzinsy i japonki oraz T-shirty ozdobione wizerunkami geniuszy albo wielkich przywódców (dziś jest to Oscar Wilde). Rower górski stoi oparty o regał z książkami. W tle cicho gra Schubert. Kalifornijskie słońce wlewa się przez okno.

Simonton jest profesorem psychologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis oraz zdeklarowanym intelektualnym grotolązem. Niczego nie lubi bardziej od eksplorowania nieznanymi głębin, miejsc, do których inni boją się zajrzeć ze strachu przed ciemnością i samotnością. Pod tym względem również przypomina mi Galtona. Podobnie jak angielski podróżnik i naukowiec, Simonton ma obsesję na punkcie badań nad geniuszem i cierpi z powodu poważnego uzależnienia od liczb. („Jak tam twoje równania różniczkowe?” – pyta mnie w którymś momencie. Nie za dobrze, a wasze?) Ale w przeci-

wieństwie do Galtona Simonton nie wtyka szpilek w filc i jest w pełni zdolny do nawiązania kontaktu wzrokowego oraz rozumienia różnych towarzyskich subtelności. Nie pochodzi z uprzywilejowanej rodziny, lecz z klasy robotniczej – jego ojciec nie ukończył liceum. I, co najważniejsze, nie cechuje go etnocentryczne nastawienie. Trzeźwo patrzy na świat i jest na tropie czegoś wielkiego.

Obsesja Simontona, jak to zazwyczaj bywa, rozwinęła się wcześniej. Chodził do przedszkola, kiedy jego rodzice kupili wielotomową *Encyklopedię świata*, która natychmiast go zafascynowała. Godzinami oglądał zdjęcia Einsteina, Darwina i innych geniuszy, tak jak niektóre dzieciaki gapią się na zdjęcia graczy ligi baseballowej i gwiazd muzyki pop. Nawet w tak młodym wieku intrygowały go nie tylko osiągnięcia tych mężczyzn i kobiet przypominających bogów, lecz także okoliczności, w jakich ich losy nieoczekiwanie się krzyżowały. Leonardo da Vinci i Michał Anioł sprzecający się na ulicach Florencji, Freud i Einstein gawędzący nad filiżanką kawy w Berlinie...

W college'u Simonton zapisał się na zajęcia z historii cywilizacji, ale jak na naukowca przystało, swoje prace szpikował równaniami matematycznymi – „sława jest wprost proporcjonalna do występowania nazwiska; to jest $F = n(N)$ ” – oraz nawiązaniami do praw termodynamiki. Skonsternowany profesor udzielił mu surowej reprimendy: „Jeśli myślisz o procesie historycznym równie sztywno jak o prawach uniwersalnych, to zrozumienie historii nastręczy ci ogromnych trudności”. Simonton spędził ostatnie pięćdziesiąt lat na udowadnianiu, że ten profesor był w błędzie. Zdobył doktorat z psychologii i poświęcił się kielkującej dziedzinie „geniuszologii”.

Nie było mu łatwo. Środowisko akademickie mimo wszelkich zapewnień o tolerancyjności nie odnosi się łaskawie do wichrzycieli. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kreatywność i geniusz nie stanowiły tematów, które traktowano poważnie, co wydaje się dziwne, biorąc pod uwagę, że uniwersytety ponoć zajmują się produkowaniem geniuszy, ale już mniej dziwne, jeśli uwzględnimy, że – jak to przenikliwie zaobserwował pisarz Robert Grudin – „istnieją

dwa rodzaje tematów, którym kultura poświęca niewiele studiów: te, którymi gardzi, oraz te, które ceni najbardziej”. Temat geniuszu z powodzeniem spełnia oba kryteria. Cenimy sobie wyobrażenie o samotnym twórcy, odważnie pokonującym przeciwności losu, rozgramiającym spisek matolek sprzysiężonych przeciwko niemu. Ale potajemnie (a czasem nie aż tak potajemnie) pogardzamy mądralami, szczególnie głoszącymi niebezpieczne nowe idee. „Kiedy powiedziałem ludziom o moich planach studiowania geniuszu, uznali, że mi odbiło – zdradził mi Simonton. – Właściwie to nawet przygotowali dla mnie listę czasopism naukowych, w których nie będę publikowany”. Simonton, który sam uważa siebie za człowieka upartego, postanowił dowieść, że są w błędzie.

W ciągu ostatniego półwiecza rozwinął pionierskie badania dotyczące mało znanej, lecz fascynującej historiometrii, nauki o minionych epokach wykorzystującej narzędzia współczesnych nauk społecznych, głównie statystyki. Historiometria to rodzaj psychologicznej autopsji, tyle że sekcji nie przeprowadza się na jednostce, lecz na całym społeczeństwie. Przedmiotem zainteresowania historiometrii nie jest zwyczajna historia. Nie obchodzą jej wojny, zamachy i rozmaite katastrofy. Nie, dziedziną ta skupia się na świetlanych okresach w historii ludzkości, na epokach, które zrodziły piękną sztukę, błyskotliwe koncepcje filozoficzne i przełomy naukowe.

Już na początku kariery Simonton skupił się na zjawisku kluczowym w historiometrii: fluktuacji geniuszu w czasie i przestrzeni. Genialne jednostki nie pojawiają się przypadkowo – jedna na Syberii, inna w Boliwii – lecz w grupach, tworząc skupiska geniuszy: w Atenach około 450 roku p.n.e., we Florencji około roku 1500 n.e. Konkretnie miejsca w konkretnych czasach dają rekordowy plon błyskotliwych umysłów i dobrych pomysłów.

Pytanie brzmi: dlaczego? Wiemy już, że nie jest to kwestia genetyki. Złote czasy nastają i przemijają znacznie szybciej, niż zmienia się pula genów. A zatem co jest przyczyną ich pojawienia się? Klimat? Pieniądże? Ślepy traf?